

# Recenzje



## Niechciana Polska

Andrzej Stasiuk,  
*Wschód*, Wydawnictwo  
Czarne, Wołowiec 2014

Andrzej Stasiuk jest dla mnie tym, czym płyta, którą lubię: biorę którąś z jego książek, otwieram

dowolny fragment i czytam parę stron – tak samo, jakbym słuchał przypadkowych kawałków muzycznych. Tak jest też ze *Wschodem*: to jedna z tych pozycji – obok *Jadąc do Babadag*, *Dziennika pisanego później*, *Dojczland*, *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach*, a także *Taksim* – w których Stasiuk na swój sposób mierzy się z przestrzenią. Właśnie, robi to bardzo „na swój sposób”: *Wschód* jest w zasadzie tym samym, co *Jadąc do Babadag*, stanowi dalszy ciąg opowieści o tym, jak Stasiuk stara się dotrzeć w „miejsca, z których można tylko wracać”. Różnica tym razem polega na tym, że podczas środkowoeuropejskich i bałkańskich podróży pisarz faktycznie mógł docierać do kresu rzeczywistości – do delty Dunaju, na albańskie wybrzeże czy na stambulski skraj Europy (w *Taksim* pada ostrzeżenie, że należy zawrócić, bo „wypierdoli nas do Azji”). *Wschód* jednak nie ma końca. Słynne Stasiukowe „miejsce, z którego

można tylko wracać”, to punkt, po osiągnięciu którego dalej po prostu nie ma sensu iść: jest jak rzeczywistość poza grą (kiedy wklepujemy na klawiaturze kod łamiący zasady, „*God mode on*”), wyjście poza strukturę tego, co wymyślili jej twórcy. Znajdujemy się w świecie „poza”, w niebycie, buksujemy w próżni. Pustka to pustka, *Wschód* to *Wschód*, step, nieskończoność, brak zmian. To niepojęte dla Europejczyka, przyzwyczajonego, że rzeczywistość ma jakąś formę nadaną jej przez człowieka.

„Na początku to jest takie uczucie, jakby geografia robiła sobie z ciebie jaja. Leci się jakieś sześć czy siedem tysięcy kilometrów, czyli tyle, ile do Indii albo do Kongo, i na końcu jest coś w rodzaju hipertroficznego Węgrowsa albo rozdętych Siemiatycz” – pisze Stasiuk. Jest to jednak nieskończoność czegoś swojskiego, dobrze znanego, „naszość” podkrecona do maksimum. Bo, pisze dalej Stasiuk: „w Irkucku (...) nie mogłem uwolnić się od przejmującego poczucia, że to wszystko znam. Te neoklasyczne fasady, napisy cyrylicą, kolumny, tympiony, cały ten przepych na pokaz, a zaraz obok dziury, kałuże i potłuczone flaszki. Znałem to, znałem jeszcze z dzieciństwa”.

*Wschód* to jednocześnie przeszłość i przyszłość. Po pierwsze, przeszłość, bo

ze Wschodu na Zachód przychodzi (w wyobrażeniu Zachodu, nawet tego nieopierzonego, jakim jest Polska) dzikie. Raz jeszcze Stasiuk: „To musiało wyruszyć gdzieś stamtąd i najpierw kłusowało przez swoje stopy na czterech łapach, by dopiero potem, w miarę jak przybliżały się nasze cywilizowane siedziby, stopniowo się prostować i w końcu stanąć na dwóch nogach, żeby mieć dwie wolne ręce do łapania kur i zakładania zegarków”. Po drugie, przyszłość. Dobrze, Rosja to przyszłość raczej średnia, przynajmniej w naszym wyobrażeniu, ale przyszłość łatwiej zobaczyć Stasiukowi w Chinach, bo i tam jeździ, i pisze o chińskim gigaprojekcie, o projektowaniu rzeczywistości na zaś, na wyrost: „Świetliste kontury zwielokrotniały architekturę i tak przecież za dużą, ponad miarę i dopiero wyczekującą przyszłości. Dla kogo więc płonęły? Żółte, czerwone, fioletowe, zielone i niebieskie. Słały ten swój lucyferyczny blask w mroki mongolskiej pustyni? W kosmos? Że oto nadchodzi nowa era? Latarni nie było zbyt wielu i w zasadzie tylko te fosforyczne ognie rozświetlały miasto. Dworzec żarzył się złością i acetylenowo”.

Swojskość i niepojętość Stasiuka jest czymś groźnym – czymś, czego jesteśmy częścią, a co z siebie wypieramy. Trudno zresztą powiedzieć, czy skutecznie: niby daliśmy sobie ze Wschodem spokój jako państwo, niby odcięliśmy się od bezkresu Kresów, niby zakotwiliśmy w ponemieckim Zachodzie, porzuciliśmy *Drang nach Osten* i pozostawiliśmy go wyłącznie Rosjanom (niech się sami męczą), ale jednak mamy to wszystko

w sobie. Jesteśmy przez ten Wschód uformowani i Stasiuk to wyraźnie widzi. „Mama, jak ja mam na Zachód jeździć? Z tej nadbużańskiej równiny? Z tych piasków, w które walały pioruny? Z tych wądołów ze stojącą zielonkawą wodą?” – powtarza jak mantrę pisarz. Powtarza, bo to samo, niemal słowo w słowo, pisał w *Dzienniku* pisany później.

Wschód to Rosja, to Chiny, to Azja Środkowa, to Mongolia. To Polska, tyle że ta, która czai się za biało-czerwonymi słupami granicznymi, którą z siebie wyparliśmy i której się boimy, ale z której przyszliśmy i do której próbowaliśmy przez setki lat wrócić. To jednocześnie Polska, która w jakimś stopniu nadal w nas siedzi. I nie chodzi tu o żadne „w nas siedzenie” w rozumieniu imperialnym, jagiellońskim czy politycznym. To jest ta nasza część Europy właśnie. Bo – jak pisał Witold Gombrowicz – wtedy Polska stanie się prawdziwą Europą, kiedy wniesie do niej coś, co nie jest kopią, co jest wyjątkowe, czego w Europie wcześniej nie widziano. I Polska wniosła do Europy właśnie ten Wschód, sama się z niego jednocześnie wyrывая. I nie można tego wyrwanego z Polski Wschodu porównać z bólem fantomowym po utraconej kończynie, bo to nie jest kończyna, tylko całe ciało, a nas to nieistniejące ciało boli. Stasiuk pojechał więc tam, aby po tym ciele wędrować, poczuć to wszystko niefantomowo, tylko tak po prostu. I opisać po swojemu...

„Za wsią dogoniłem dwóch chłopców na rowerach. Jeden wiózł gwiazdę

betlejemską na kiju. Była z szarej tektury, jeszcze niepozłocona. Miała kolor ziemi i łąk. Wiał wiatr i jechali z trudem”. Albo: „Wyszedłem w lodowaty poranek. Niebo było szare i ciągnęły po nim szybkie chmury. No więc nie byłem pewien, czy spałem, czy całą noc rozmyślałem o kraju, który mieliśmy dzisiaj zostawić. A może śniły mi się własne myśli. Nie wiem. Poszedłem w górę nagiego zbocza. Byłem sam”.

Znacie tę frazę? Poznajecie? To dobrze, bo dostaniecie tego więcej. Wschód to Stasiuk „po wschodniemu” w wersji podkręconej na maksa.

*Ziemowit Szczerek*

